

Marta Koźlak

# Zagubiony Mikołaj




Ilustrowała Milena Molenda

Wydawnictwo Skrzat  
Kraków



Rodzina Pogodzińskich, czyli mama Ania, tata Grzegorz oraz chłopcy Miłosz i Julian, wybierali się w przeddzień Wigilii w kilkugodzinną podróż. Jechali do babci Hani i dziadka Władka, by spędzić u nich całe święta. Chłopcy kochali swoich dziadków, na co dzień rozmawiali z nimi przez telefon czy nawet przez internet, korzystając z dobrodziejstw najnowszych technologii. Nic jednak nie zastąpi mocnego przytulenia ani wspólnej zabawy, dlatego Miłosz i Julek nie posiadali się z radości, że jeszcze tego wieczora wpadną w ich ramiona.

Od kilkudziesięciu minut cała rodzina była już w drodze. Jechali zapakowani po sam sufit, mocno spóźnieni. Tego dnia rano rodzice jeszcze pracowali. Tata dopinał ostatnie projekty u siebie w firmie, a mama, fotografka, robiła wyblaganą sesję bożonarodzeniową dzieciom sąsiadki z góry. Za to Miłosz z Julkiem za niczym nie gonili, nigdzie im się nie spieszyło. Poranek spędzili na mozolnym układaniu wieży z klocków i skrupulatnym zabałaganianiu pokoju. Nawet ubieranie się i jedzenie




śniadania potraktowali zgodnie z ideą celebrowania codzienności, co prawie doprowadziło do rodzinnej awantury, bo w południe okazało się, że wciąż byli w piżamach.

Tata nazywał siebie mistrzem objazdów i nawigacji. Jechał w zielonych skarpetkach mamy, bo swoje czyste spakował już do walizki. Mama siedziała wygodnie w fotelu, gotowa do lektury, którą z braku czasu ciągle odkładała na później. Chłopcy, zapięci w fotelikach, rysowali na tabletach graficznych. Im akurat czas, który mieli spędzić bez ruchu, wydawał się koszmarem. Rodzice liczyli, że Miłosz z Julkiem szybko zasną, a oni dzięki temu unikną niekończących się pytań synów: „Daleko jeszcze?” i „Możemy bajkę?”.

W bagażniku oprócz walizek jechały prezenty, ale nie takie zwykłe, chociaż też zapakowane w kolorowy papier. W tym roku wszyscy członkowie rodziny Pogodzińskich uznali, że ofiarują sobie coś, czego najbardziej im potrzeba, a czego ostatnio mają bardzo mało – czas dla siebie. Przykładowo mama dostanie od taty karnet na wieczorne rozmowy przy gorącej czekoladzie bez telefonu w ręce, Miłosz da tacie bon na wspólne budowanie z klocków, a Julek otrzyma od mamy zaproszenie na pieczenie pizzy.

Tata, koncentrując się na jeździe, a mama, próbując zrozumieć fabułę czytanej przez siebie książki, jednocześnie starali



się zabawiać chłopców. Teraz grali w piątą już grę – tym razem w „Zgadnij, co widzę”.

– To, co widzę, jest białe i zimne – powiedział tata.

– Śnieg! – krzyknęli jednocześnie chłopcy.

– Ta zabawa jest bez sensu, za oknem szaleje śnieżycy, a tu w środku nic się nie zmienia, więc nie da się wymyślić już niczego nowego – uznał Julek z rezygnacją w głosie.

Nastała cisza. Płatki śniegu lepiły się do szyby, wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, a za oknami było po prostu białe. Tegoroczne święta zapowiadały się naprawdę magicznie. Cały świat pokrywała śnieżnobiała kołderka, drzewa wyglądały jak ubrane w sukienki, a domy przypominały te z bajek o krasnalach. W pewnym momencie odezwał się Miłosz:

– To, co widzę, ma poroże i czerwony, migocący nos.

– Ja wiem, ja wiem! Renifer, i to Rudolf w dodatku! – zawołała entuzjastycznie mama.

